Wydawnictwo Polskiej Partji Socjalistycznej.

Gawęda o chłopskiej doli i o tem, jak ją poprawić.

I.

Napisał GRZELA.

KRAKÓW. 1917.

Wydawnictwo Polskiej Partji Socjalistycznej.

Gawęda o chłopskiej doli i o tem, jak ją poprawić.

I.

Napisał GRZELA.

KRAKÓW. 1917.

Pełno było ludzisków w chałupie Adama Świtki. Zebrali się, jako że na kominie ogień trzeszczał, a zdobyć paliwo w listopadzie 1916 r. podczas okropnej wojny europejskiej i ustawicznych rekwirunków były bardzo ciężko. Lecz oprócz tego, Świtka zagrodnik, na 6 morgach osiadły, powiadał, że przyjedzie z Warszawy jakiś jego znajomek, robotnik, bardzo chwacki, bardzo biegły w polityce, za którą nawet siadywał w więzieniach i odbywał roboty ciężkie na Syberji. Ano więc siaki taki przywlókł się dla onej wielkiej ciekawości, a poniektóry wprost dla światła i ciepła, by się w gromadzie przy kominie pogrzać.

Gospodarzów zamożniejszych próżnobyś tam szukał; woleli oni trzymać z księdzem, z wójtem, który choć był z wsiowych, ale nosa w górę zadzierał, zaufany w władzę a pieniądze.

Właśnie przybył przed chwilą gość z Warszawy, ubłocony po pas, bo od stacji było kilka wiorst i trzeba było brnąć po nielada grzęzawie. Był to średniego wzrostu mężczyzna, krzepki, zwarty w sobie, lat około 30. Siwe oczy patrzyły spokojnie, ale z siłą—widać było, że Wardawy (takie było nazwisko przybyłego) należał do ludzi, którzy śmiało zaglądali w twarz niebezpieczeństwom i choćby w najtrudniejszych warunkach życia nie łamali się, śmiało idąc do celu.

Siaki taki, nasłyszawszy się wiele o Wardawym i jego dziwnych kolejach życia, z ciekawością mu się przyglądał, a jeszcze z większą ciekawością przysłuchiwał, jak Wardawy rozmawiał.

Nie zdążył jeszcze Wardawy odpocząć należycie, a jużci go zasypywali pytaniami, głównie zaś kowal,

bo był chłop w świecie obyty, gazetkę czasami czytał, a na polityce niby się rozumiał.

— Powiadajcie nam o tej niby Polsce niepodległej, co to ją niemce wraz z panami ogłosiły. Co tam w mieście o tem ludzie myślą?

Bystro Wardawy spojrzał na kowala, tak że ten aż oczy spuścił, i odrzekł:

— A ja widzę, że wam się ta Polska niepodległa nie podoba. Radbym wiedział, dlaczego?

Milczał przez długą chwilę kowal, wbiwszy wzrok w ziemię, a potem tak przemówił:

— Jakże! toć człek nie ciemny i wie, że ta niepodległość tylko część narodu obejmuje, tę, która dawniej do ruska (Rosji) należała. A Poznańskie gdzie? A Galicja? Wolno to o swoich zapominać? Bez połączenia wszystkich trzech części niemasz niepodległości. Ludzie mądre tłumaczyli mi, że i bez dostępu do morza niemasz niepodległości, bo jakże tu handlować z krajami zamorskiemi? A bez handlu zamorskiego Polska się nie ostoi.

— Widać odrazu, żeście człek nie ciemny — jeno szkoda, że posłuchanie dajecie ludziom, którzy tyle stoją o niepodległość naszej ojczyzny, co pies o piątą nogę. Oni to przewracają ludziom w głowie, wywodząc, że najprzód połączenie, a później niepodległość. Ale zastanówcie się tylko: w czyim interesie leży połączenie naszego narodu? Kto tego połączenia najbardziej pragnie i do niego dążyć musi? Rozumie się, że my polacy. Nas rozdział osłabia, nas doprowadza do tego, że swoi przeciw swoim walczyć muszą; wskutek rozdziału najbardziej jesteśmy upośledzeni w Europie; bo słychane to rzeczy, żeby naród, dwadzieścia kilka miljonów liczący, żadnego w świecie nie miał znaczenia, ani uważania? Austryjak, niemiec czy moskal, jak chcą tak rządzą, jak

chcą tak kręcą — a ty, polaku, milcz, jak to nieme bydlę, albo w katorgę. Mówię wam tedy, w naszym, polaków, interesie naprawdę leży, żebyśmy się połączyli. Zapowiadał wprawdzie książę rosyjski Mikołaj Mikołajewicz w odezwie swojej, że nas połączy, tylko nie dodał wyraźnie, dlaczego. A i o tem zapomniał, czy Rosja ma dość sił, żeby nas połączyć, to znaczy: pokonać niemców i austrjaków.

Otóż kto choć trochę historję naszej ojczyzny zna, ten wie, że Rosja zawsze dążyła do naszej zguby, gdyż ją odgradzamy od Europy Zachodniej, w której moskale chcą przywodzić — to raz, a powtóre — moskale chcą połączyć ze sobą wszystkie ziemie słowian, narodów pobratymczych, jak rusinów, czechów, chorwatów, serbów i t. d., chcą im narzucić język rosyjski i prawosławną swoją religję; więc jakże mogliby się dobrowolnie godzić na to, żeby polacy, naród również słowiański, należący wprost do narodów zachodnio-europejskich, mieli swoją niezależność, swobodnie rozwijali swój język, zachowywali swoje obyczaje, swoją wiarę i tworzyli drugie, napewno lepsze, niż rosyjskie ognisko, koło którego gromadzić się będą ludy słowiańskie? I o tem nie należy zapominać, że myśmy łączyli narody wolnością, a moskale knutem i gwałtem, my tacy, a moskale zgoła inni, my i moskale to dwa światy. Moskale doskonale to rozumieją i dlatego za nic na świecie zgodzić się nie chcą na naszą niepodległość, jeżeli zaś chcieli nas łączyć pod berłem swego cara, to dlatego, żeby nas strawić w swoim olbrzymim żołądku, tak jak strawili kozaków, jak trawią białorusinów, litwinów, naszą chełmską gubernję, jak trawili zresztą nas w ciągu 100 lat, jak biorą się do finlandczyków, którzy wcale z moskalami wojować nie chcieli. Do tego moska-

lom potrzebne było połączenie wszystkich trzech dzielnic polskich pod berłem cara.

— E — przerwał kowal — jakby nas połączyli, tobyśmy się w kupie nie dali.

— I pewno, gdybyśmy tak połączeni mieli własną, dużą i dobrze uzbrojoną armję. Lecz moskale i słuchać nie chcieli o naszej własnej armji, obiecywali jeno samorząd, który pewnikiem mało co różniłby się od dzisiejszych urządzeń gminnych. Kto zna moskiewską politykę i jej łgarstwa, ten nie może mieć pod tym względem złudzeń.

Ale wróćmy do połączenia.

Jeżeli tedy połączenie naprawdę tylko w naszym interesie leży (połączenie przez moskali byłoby dla nas przekleństwem i zagładą), któż tedy w tym kierunku działać ma najenergiczniej? Oczywiście my. Ale żeby działać, trzeba mieć możność działania. Gdybym was, kowalu, związał na ten przykład, zupełnie działaćbyście nie mogli, choć siły w was zostałyby te same.

Otóż i my teraz jesteśmy jakby związani, a niepodległość choćby tylko na części ziem naszych, da nam możność swobodnego działania — i to właśnie będzie narazie najcenniejszą zdobyczą. Są tacy, co krzyczą tak mniej więcej, jak wy, kowalu. Niech będzie niepodległość odrazu w trzech polskich dzielnicach, innej niepodległości nie chcemy! Wy, kowalu, pewno w to naprawdę wierzycie, skoro tak powiadacie, ale ci najgłówniejsi umyślnie tak powiadają i ludzi bałamucą, albowiem wiedzą doskonale, że ani połączenie teraz jest niemożliwe, ani też niepodległość w trzech dzielnicach. Więc chcą w ten sposób urwać łeb niepodległości w jednej dzielnicy i moskalom do powrotu grunt przysposobić. Liczą na to, że lud ciemny i im zawierzy. Ano, nie słowa na takich po-

trzeba, ale powroza, jak na zwykłych judaszów-zdrajców.

Po tych słowach zaległo w chacie milczenie. Kowal jakoś nie kwapił się z odpowiedzią, widać było, że coś w sobie żuł a trawił.

Wtem ozwał się Siek, wyrobnik:

— Pewno, że to byli judasze a zdrajcy. Pamiętacie, jak to pisarz nasz gminny łońskiego roku gadał nam, że cesarz ruski to nasz największy dobrodziej i teraz za nas z niemcem wojuje, nas chce łączyć, naszej wiary broni. A jak Molęda z Kępic burknął, że to tam jeszcze niewiadomo, dla kogo tę wojnę cesarz prowadzi i co z nami uczyni, to go w kilka dni później dobrodzieje moskale w nocy złapali i gdzieś wywieźli. Szkoda wielka, że teraz tego łajdy pisarza niema. Dużo on narodowi naszkodził, i nie było na niego sposobu.

— Racja jest — nagle aż prawie krzyknął Wójcik, chłop młody, dorodny a bystry i skoczył z ławy na równe nogi.

— Co niby?—zapytali go chórem, zdziwieni jego gwałtownością.

— Święta racja, co mówią Wardawy. Dyć od czegoś trza począć. Jak nie można od całej Polski niepodległej, zaczynajmy od kawałka. Toć przecie nie całą odrazu zagrodę budujecie: przódzi dom, żeby się można gdzie zachylić, później chlewy i obórki, później stodoła — aż se całe gospodarstwo galancie wyprowadzicie. I tylko głupi człowiek powie: nie będę budował sobie domu, przebędę jeszcze u somsiada, poczekam, aż se wszystko zaraz budować pocznę. Może, jak dobrze pójdzie, i do śmierci tak czekać i nijakiego gospodarstwa nie urządzi. Rację mają Wardawy. Nie można od dużej, pocznijmy od małej Polski, byleśmy w niej sami gospodarzami byli.

— Co ci się troi, mądralo — wtrącił się dobrze siwy i przygarbiony od starości Matysiak, co to czasy pańszczyźniane pamiętał. — Będziesz ty gospodarzem w tej Polsce, oj będziesz! A nie słyszałeś to, że tę Polskę niepodległą panowie budują, żeby do pańszczyzny wrócić, żeby takich jak ty mądralów na dworskiem do roboty przyniewalać?

Stropił się nieco Wójcik, bo i on o tem słyszał, jeno tak jakoś na chwilkę zapomniał. A i gromada nagle straciła zapał. Rzekłbyś, że stary Matysiak przywołał nagle z grobu widmo pańszczyzny, które wszystkich zmroziło. Spojrzeli na Wardawego. Nie spieszył się Wardawy z mówieniem, czekał aż Magda, żona Świtki, przestanie kręcić się koło komina i zaczął bardzo powoli, a z rozmysłem.

— Ważnej, dziadku, sprawy dotknęliście. Dla niej też głównie z Warszawy tu do was przyjechałem.

Widzicie, do pańszczyzny z przed pięćdziesięciu lat już dziś wrócić niepodobna i nikt o tem nie myśli. Naród przed pięćdziesięciu laty do tyla zmądrzał, że gdyby go nie uwłaszczono, to napewno podniósłby wielki bunt i sam sobie wolność i ziemię zabrał. Tego się zląkł car rosyjski Aleksander II, którego pisarz gminny, naczelnik powiatu i strażnicy kazali wam czcić jako dobroczyńcę. Jak przybędzie dobrych szkół i odsapniecie w wolności, sami zrozumiecie, że strach o własny tron i powstanie polskie, kazały Aleksandrowi II was uwłaszczyć. Cóżby się to działo dziś, gdyby chciano pańszczyznę zaprowadzić? Bądźcie pewni, że taki by się w narodzie bunt rozpalił, iżby z dworów szlacheckich i różnych urzędów kamień na kamieniu nie pozostał. Krwawoby się ta pańszczyzna skończyła. Wiedzą o tem panowie i z obawy o własną skórę do pańszczyzny wracać nie myślą.

Jeno, widzicie, gdy panowie będą Polskę urzą-

dzali, to jużci urządzą ją tak, że im będzie najlepiej, a wam najgorzej, sobie głównie prawa zapewnią, a wam dla pozoru ladajakie ochłapy rzucą, im będzie wygodnie i przestronno w tej Polsce, a wam ciasno i źle. I nie może być inaczej. Gdy budujecie dla siebie chałupę, o swej przecie wygodzie myślicie przedewszystkiem, a o cudzą się nie troszczycie.

I bądźcie pewni — raźnoby się panowie do budowania Polski wzięli, oczywiście dla własnej wygody, jeno ich jeszcze strach po łydkach kąsa: a nuż moskal wróci, którego większość panów przed wyjściem o swej wierności i miłości zapewniała, co powie, gdy zobaczy, że panowie niepodległą Poskę urządzają? Jeno i to wam powiadam, że tego strachu coraz między niemi mniej; widzą, że moskalowi siły brakuje, sam siebie okradł i zrabował i wrócić nijak nie może. Więc też coraz to któryś z panów nos z mysiej jamy wysuwa i powiada: ja zawsze niepodległej Polski chciałem. Zapomniał tchórz, jak moskalowi mówił, że nigdy Polski niepodległej nie chciał.

Może nawet i nie zapomniał, jeno widzi, że do niepodległości idzie, więc i strach przemaga, byle siebie i swoje zabezpieczyć, a praw co więcej zagarnąć. I zwala teraz kłamca na chłopa, że to chłop niepodległości nie chce. Myśli sobie krętacz: trzeba się lepszym wydać, to mi każą chłopem się opiekować i uczyć go miłości ojczyzny i niepodległości. Dadzą mi wielką władzę i rząd do garści, bo jakże się inaczej chłopem zaopiekować?

Robotnik, jako bystrzejszy i bardziej na tych różnych podłych machinacjach się znający, pomiarkował odrazu, co się święci.—Nie, bratku — powiada — kiedy ja o niepodległość i wolność walczyłem, tyś się, panku, w mysiej jamie ze strachu krył. A teraz do władzy to leziesz, nieproszony? Chciałbyś zjeść

kasztany, wyciągnięte naszą krwawicą z ognia? A no, zobaczymy!—I robotnicy, zorganizowani w partję socjalistyczną, raźno wzięli się do budowy państwa polskiego, we wszystko wglądają, a panom i fabrykantom na ręce przydługie patrzą. Wiedzą doskonale robotnicy, że bez ich doglądu i dozoru, a i mocnych od czasu do czasu szturchańców, w Polsce niepodległej panowie tylko dla swojej wygody urządziliby życie. Więc już teraz do wszystkich urządzeń wchodzą, o wszystko pytają, wyraźnie, a mocno swoje żądania stawiając. Polska—powiadają—musi być ludowa, a to znaczy, że w Polsce niepodległej ma lud rządzić i jego interesy mają być zabezpieczone.

Jużci, nie odrazu ta Polska ludowa stanie, ale jak mądrze powiedział Wójcik, trzeba od czegoś zaczynać i to natychmiast, teraz, nie odkładając, bo jak wczas nie zaorzesz, plonu się nie spodziewaj.

— A jakże wczas zaorywać, jak tu budować, kiedy panowie pchają się wprzód i dostępu nie dają? — zapytał Świtka.

— Mówią o koniu—ciągnął Wardawy—że gdyby siłę swą znał, niktby go okiełznać nie mógł. To samo można powiedzieć o narodzie wiejskim: gdyby wiedział, jaka jego potęga a moc, ho, ho, niktby mu przywodzić i na nosie graćby się nie odważył. Pomyślcie: w samem jeno Królestwie Polskiem, co to dziesięć gubernji liczy, luda wiejskiego jest 8 miljonów, a panów, co to folwarki i majątki mają, ledwie kilkadziesiąt tysięcy; cała ich siła przy sile narodu wiejskiego akurat tak wygląda, jak ten mały garnuszek przy tym wielkim kominie. Gdzie tu równać! Jeno że oni mają naukę a władzę, gdy lud prosty w ciemności brodzi i dlatego nie trudno go oszukać i wyzyskać. Najgorsza, że ci panowie dziedzice a fabrykanci urządzą Polskę naszemi rękami, lecz na swo-

ją, nie na naszą korzyść. Otóż na to pozwolić nie możemy — słyszycie? nie możemy!

— A pewno, że nie pozwolimy — odezwał się znowu Matysiak stary—i nijakiej Polski Niepodległej nie chcemy i budować nie damy. Potrzebnaż to ona narodowi wiejskiemu? Rząd to nie chłopska, jeno pańska rzecz—tak było i tak będzie i niech Wardawy popróżnicy głowy nam nie zawraca.

Po tych słowach Matysiaka, co to czasy pańszczyzny pamiętał, poruszenie nastąpiło w gromadzie. Dały się słyszeć głosy: „Nie plećcie Matysiak, kiej nie rozumiecie się na polityce". „Stary, to i rozum osłabł". „Wiadomo, pańszczyźniany, w skórę brał, to skąd ma pojąć nasze potrzeby."

Aż kowal, że to był człek uczciwy, jeno w głowie mu trochę różni źli ludzie kotłowali, zaczął:

— Dużoście, dziadku, biedy nadźwigali się, aż wam ramiona obwisły od trudu niepomiernego, a włos zbielał, jak mleko. W tej niedoli a kłopotach toście i czasu nawet pomyśleć nie mieli, co do czego przynależy i jako być powinno. Baliście się jeno tego, żeby pańszczyzna nie wróciła, i za moskalem trzymaliście, że to niby on was od niej uwolnił i obraniał. Tak wam się wydawało — ale mi wierzcie, dziadku, że tak nie jest. Czytałem ja to w księgach, od jednego dobrego księdza słyszałem i tubym wam odrazu rzecz, jak się patrzy, wyłożył, jeno nie czas nam o tem prawić. Prawdę mówił Wardawy, że pańszczyzna nie wróci, ale i to dobrze, jak miarkuję, mówił, że trzeba o inne prawa zabiegać a dopominać się. Bez tego nic się na wsi nie zmieni. Aż tu powiadacie: Polska niepodległa zgoła narodowi wiejskiemu nie potrzebna, a rządy to pańska rzecz. O nieszczęsna ciemnoto! Sama na siebie bicz kręcisz,

a w ręce wrogów naszych podajesz, gdy tak myślisz, a postępujesz!

Zapytajcie chłopa niemieckiego, francuskiego, angielskiego i jakiego chcecie, oprócz ruskiego, który jest jeszcze ciemniejszy od naszych wiejskich ludzi—a usłyszycie, co oni wam powiedzą o wolności i niepodległości swej ojczyzny.

Ojczyzna niepodległa—to własny dach nad głową, pod którym chronisz się od zawieruchy światowej, jak naprzykład ta wojna europejska.

Ojczyzna niepodległa—to siła, która strzeże mowy ojców, obyczajów, wiary i godności ludzkiej, że tobą, jak tym psem, nie pomiatają.

Ojczyzna niepodległa to własna zagroda, którą rychtujesz sobie wewnątrz, jak chcesz, a nikt ci nie przeszkadza i nosa do spraw twoich nie wsadza.

Luboć ci było — prawił kowal, zapalając się -- żeś musiał naczelnika a strażnika moskala słuchać, nie rozumiejąc nawet, co do ciebie gadał. Żeś musiał syna w rekruty moskiewskie oddawać, a one moskaliska słały go na Sybir, Kaukaz, pod Japonję gdziesik o kilka tysięcy wiorst od ciebie. Nieraz ci dziecko zaginęło na obczyźnie, a tyś się nawet dowiedzieć nie mógł akuratnie, jak zginęło i gdzie jego drogie kosteczki pochowane.

A o podatkach — toście zapomnieli? Wyciskali z was rocznie 13 miljonów rubli podatku gruntowego i nic dla wsi polskiej nie robili, ale to zgoła nic. A sądy ruskie? rozmawiałeś z sędzią moskalem, jak gęś z prosięciem: ani on ciebie, ani ty jego nie rozumiałeś, ale on ciebie sądził i wyrok wydawał, a jakie te wyroki były, zapytaj tych, co się sądzili. Bywały i takie wypadki, że ci świadka niewinnego sędzia—moskal, do kozy pakował, bo nie rozumiał po polsku i myślał, że to właśnie

główny winowajca. Nie zrachować tej krzywdy, którą wyrządzały sądy moskiewskie narodowi.

A te szkółki, w których dzieci uczyli tam przez kilka zim rosyjskiego, gdy tyle pożytecznych nauk jest na świecie. I wychodziło dziecko ze szkoły, nic pożytecznego nie umiejąc, nieraz nawet po polsku nie potrafiło czytać. Toście przecie sami takich szkół nie chcieli zakładać, jeno woleliście sekretnie od rządu uczyć dziecko po polsku, jakby to była zbrodnia jaka. Ano dla rządu moskiewskiego to była zbrodnia, bo on was chciał na moskali przerobić a w ciemności utrzymywać, żeby wami kręcić według swego upodobania.

A samorząd gminny? Wójta wybieraj takiego, jakiego chce pan naczelnik. To też wybieraliście albo człeka ciemnego, którym byle pisarzyna kręcił, albo figurę rządową, co to przeciw narodowi z władzami się sprzęgał. A te wasze zebrania gminne! Niechby który chciał naprawdę coś o niedoli wiejskiej pogadać, a o niej radzić, wnet ci by go uprzątnęli, jak buntownika, żeby więcej świata bożego nie oglądał. Wolno wam było radzić, ilu miało drogę naprawiać, gdy pan gubernator czy pan komisarz miał przejeżdżać.

Eh co tu gadać! Na wołowej skórze nie spisałby tych krzywd, tych poniewierek, których nacierpieliśmy się przez to, żeśmy wolności i niepodległości nie mieli. I dziś albo człek ciemny i głupi może mówić, że niepodległość i wolność chłopu niepotrzebna, albo też człowiek bardzo zły, prawy judasz i wróg!

Tu wszyscy naraz zapytlowali. Wnet jęli krzywdy doznane od moskala wspominać i łatwo było pomiarkować, że im gadanie Wardawego i kowala do smaku przypadło.

Aż ozwał się głosem silnym Pachucy, co niewiele gruntu własnego posiadał, lecz dobierał u dworu na odrobek. Był to chłop przemyślny, ale jak zagadał, to wszyscy ciekawie nasłuchiwali, bo byle czego nie powiadał.

— Toć wiadomo, że Polska niepodległa jest nam tak potrzebna, jak nieprzymierzając światło a ciepło słoneczne zbożu — i ja tam nie patrzę, czy panom ta Polska potrzebna lub nie, jeno wiem, że mnie a moim jest potrzebna, że naród wiejski wszystek jej potrzebuje, choć nie wszystek nawet wie o tem. Ano, we własnej wolności rozprostujesz, człecze, kosteczki spracowane i swego akuratnie dopatrzysz; we własnej wolności nabierzesz tego światła, tej nauki do głowy, bez której teraz nijak żyć na świecie, we własnej wolności odnajdziesz sprawiedliwość, o którą teraz po próżnicy łazisz do różnych obcych urzędników. I panowanie pisarza, naczelników a komisarzy się skończy, i zbiórka gminna większego nabierze znaczenia a uważania. Wszelako deliberują właśnie teraz i możeby Wardawy dopomogli mi a radę mądrą dali, jak się wziąć do budowy tej Polski wolnej, niepodległej, żeby znowu turmą dla narodu prostego się nie stała.

W chałupie zrobiło się całkiem cicho jak w kościele. Żywo Wardawy porwał się do słowa:

— W samo sedno ście utrafili, jak lepiej nie potrza. W tem sęk i trudność największa, jak się zabrać do dzieła, żeby nie oszukali. Więc ja sobie myślę, że popierwsze, dobrze należy zrozumieć czego potrzeba, a później się o to dopiero można targować a spierać, a swego nie ustępując.

Już to ten świat tak urządzony, że bez pracy żyć na nim niepodobna. Chcesz żyć to pracuj, bądź użyteczny—oto pierwsze człowiecze przykazanie. A tu

tymczasem patrzcie, co się dzieje: dużo jest takich darmozjadów, co to śpią, jedzą, piją i bawią się, nic nie robią, gdy tymczasem całe kroci ludzisków, do pracy jak najchętniejszych, z głodu przymiera, wiecznie nie dojada, wiecznie nie dosypia i wiecznie patrzy na niedolę własnych dziecisków. Gdzież tu sprawiedliwość? Tamten nic nie robi, albo bawi się robotą i ma wszystkiego powyżej uszu, a ten zapracowuje się, ręce po łokcie urabia i nie ma nic, prócz biedy. Tamten siedzi sobie w jasnym dworze, służba a lokaje koło niego, ziemi, że i w dzień nie obejdziesz, a ten zasię z kupą dziecisków siedzi na 6 lub 8 morgowym spłachcie i deliberuje wciąż, czy na przednówek starczy kartofli. Niejeden z was może i zastanawiał się nad tem i niejeden z was tak sobie powiedział: at, musi tak być; toć on pan, a ja chłop, nie dziwota. I do głowy mu nawet nie przyjdzie, że może ten pan to taki sam człowiek, jak i on, że i niemniej pracować winien, niż on, i że przez urodzenie nikt nie może się wynosić i różnych praw a przywilejów nabywać, zarówno jak nikt przez urodzenie swoje nie może cierpieć. Pomyślcie sobie, cóż to jest ta pańskość? Czy to pana aniołowie na ziemię znoszą? czy w tej pańskości jakaś światłość niebieska a świętość siedzi, czy to pan nie tak choruje i umiera, jak każdy inny człowiek? Dlaczego ta pańskość ma być przyczyną dobrobytu i używania kiedy każdy człowiek aby żyć, musi pracować i z pracy a tylko z zasług osobistych mogą i powinny wypływać wszelkie prawa?

Uważacie więc sobie: pańskość bynajmniej nie uwalnia od pracy i obowiązków i nie może być według sprawiedliwości źródłem praw i przywilejów, bo pańskość jest skutkiem używania bez pracy, a więc jest złudą i mamidłem, w które tylko głupi uwierzyć

może. Ale powie z was kto: a co nam do panów! mają — to i dobrze. Myślmy o sobie samych, a nie o innych. Do cudzych garnków nie zaglądajmy.

I jabym tak samo myślał, gdyby nie to, że te darmozjady za wiele miejsca na ziemi zajmują.

Oto w posiadaniu włościan i szlachty zagrodowej razem znajduje się (10.743.501 + 1.324.942=) 12.068.443 morgów, tymczasem w posiadaniu wielkiej własności rolnej 6.972.410 morgów. Ogólna liczba wszystkich zagród, będących w posiadaniu włościan i szlachty zagrodowej, wynosi 1.094.444, gdy tymczasem ogólna liczba majątków, należących do wielkiej własności, wynosi 7.417. Jeżeli przypuścimy, że na jedną zagrodę, zarówno, jak na jeden majątek wielki przypada mniej więcej jedna rodzina, to zobaczymy, że jeden miljon rodzin włościańskich i drobnoszlacheckich nie posiada nawet dwa razy tyle ziemi, ile jej ma 7417 rodzin pańskich.

I nie dziw, że tak jest, albowiem 72.491 zagród ma mniej, niż 1 mórg gruntu, 200.248—mniej, niż 4 morgi, 432.356 mniej niż 9 morgów.

A każdemu, kto żyje z pracy rąk swoich na roli wiadomo dobrze, że na 8 lub 9 morgach ledwie, że wyżyć można u nas, w Królestwie Polskiem.

Te liczby są chyba tak wymowne, że i dodawać do nich nic nie potrzeba, żeby się przekonać, jak to niesprawiedliwie ziemia jest podzielona.

Dopóki taki podział trwa, musi ubugi mieszkaniec wiejski szukać zarobków na szerokim świecie, w Niemczech, w Ameryce, Bóg wie gdzie, bo przecież na małej ilości gruntu, choćbyś sobie ręce urobił, ani siebie, ani rodziny nie wyżywisz.

Do tych okropnych liczb, wołających wielkim głosem o sprawiedliwość, dodajcie jeszcze z górą pół miljona ludzi bezrolnych, t. j. takich, co już nic zgo-

ła nie posiadają—a otrzymacie czarny obraz niedoli, którą przeżywa wieś polska.

Skutki takiego stanu rzeczy są przerażające. Gdyby przynajmniej miasta i przemysł tak się u nas rozwijały, jak np. w Niemczech, no, toby sobie wieśniak łatwo zarobek znalazł i na rolę oglądaćby się nie potrzebował; ale u nas i przemysł, uzależniony w dużym stopniu od obcych, żółwim krokiem w porównaniu z Niemcami, Francją czy Anglją, lezie i całego nadmiaru ludności wiejskiej pochłonąć nie może.

To też nasza inteligiencja i opinja publiczna, która zawsze lepiej wie, co się w Australji dzieje, niż u nas w kraju, nagle dowiedziała się, że rok rocznie z kraju naszego emigruje na zarobki zagranicę z górą 200 tysięcy ludzi, głównie z powiatów nadgranicznych. Jadą ci biedacy na szczerą poniewierkę, ciułają sobie siaki taki grosz, żeby móc przetrwać zimę, i przywożą mniej więcej na głowę około 90 rubli do kraju. Porównajcie z tą emigracją ruch emigracyjny panów: i ci jeżdżą zagranicę, lecz nie dla zarobków, jeno dla uciech—i tracą tam miljony, które do kraju nigdy nie wracają. Lecz czyż te miljony, tracone przez nich, są ich krwawicą? Lekko przyszło, lekko poszło. Nie sądźcie, że biedny wychodźca uciułać może te kilkadziesiąt rubli z powodu wysokich zagranicą zarobków. Gdzie tam! Zarobki tam niewiele wyższe, niż u nas, jeno biedak żyje, jak ten pies, byle czem i byle jak, aby jeno zaoszczędzić coś dla rodziny.

A wiecie, co o tem wychodźtwie mówią obrońcy wielkiej własności? Ano, chwalą je; powiadają, jaki to ten chłopek polski poczciwy a zapobiegliwy, jak to do kraju grosz zwozi i kraj zbogaca.

Aż zgroza słuchać, boć przecież wiadomo, że nędza a brak zorobków biedaka z kraju wypędza, że

jeno kosztem okropnej nędzy może uciułać trochę grosiwa, byle zimę wraz z rodziną przetrwać. Jak nasi wychodźcy nędznie zagranicą żyją, to się temu wydziwić nie mogą robotnicy niemieccy, francuscy czy amerykańscy.

Ale jakże sługusy wielkiej własności nie mają chwalić ruchu emigracyjnego? Wszakże to prawdziwa klapa bezpieczeństwa, zapewniająca darmozjadom—panom spokój. Że się naród marnuje poza granicami, że bardzo wielu nie wraca już nigdy do kraju i wynaradawia się, co ich to wszystko obchodzić może! A niech tam, byle majątek dobry zysk dawał i w kraju robotnik był tani. Co panom szkodzi, to—powiadają panowie i ich sługusy—narodowi szkodzi. Więc, naprzykład, socjaliści, którzy otwarcie mówią, że w kraju ojczystym każdy musi znaleźć dostateczny zarobek, że emigracja jest wynikiem wielkiej krzywdy, która ludowi wiejskiemu się dzieje, że jedynie sprawiedliwy podział ziemi może emigracji zapobiec, nie jakieś tam oszukańcze towarzystwa i opieki, zakładane przez panów i ich sługusów—więc, powtarzam, socjaliści, według panów, są wrogami narodu, przekupionemi przez obce rządy i bodaj samego djabła. Ano, przypatrzcie się, jak ten socjalista przekupiony kajdankami w Sybirze lub więzieniach podzwaniał, jak ścigają go policja i szpicle, jak nie dojada, nie dosypia, licho ubrany — to sami wrychle przekonacie się, ile w tem pańskiem gadaniu prawdy jest. Szkodliwy, nienarodowy, wściekłym psem jest socjalista, bo ludowi oczy na krzywdę otwiera, bo bałamucić ludu nikomu nie pozwala, bo na prawdziwych sprawców niedoli ludowej śmiało i wręcz pokazuje, bo bardziej go obchodzi dola 800 tysięcy biednych rodzin chłopskich, niż jakieś tam kilka czy kilkanaście tysięcy darmozjadów.

Osądźcie sami, kto bardziej jest narodowy: czy socjalista, który walczy przeciw zagubie miljonów polskiego ludu miejskiego i wiejskiego, najpracowitszego i najpożyteczniejszego? czy też owe kilka tysięcy panów i mrowiska ich sługusów, których dola ludu nic nie obchodzi?

W wielkiej cichości słuchali wszyscy wywodów Wardawego, głęboko deliberując a dziwując się, że ten robotnik, osiwiały w bojach o wolność i dobrobyt mas pracujących, tak dobrze utrafił w to, co ich ludzi wsiowych najbardziej bolało, co na własnej skórze odczuwali. Niejednemu o miększem sercu, to i łza w oku stanęła, bo sobie przypomniał, że i jego brat czy swat gdzieś w Ameryce, inny zaś na Syberji się zaprzepaścił. A bieda w chacie, a ten żywot, prawie katorżny, a ten ciągły strach przed jutrem niepewnem nie jestże ci to prawdziwa kara, jeno nie wiedzieć, za jakie grzechy, za jakie przewiny. Więc słychać było i ciche wzdychania i niejednemu poprostu na płacz się zbierało.

Spostrzegł Wardawy rozrzewnienie, w niektórych skłonność do płaczu, rzekł tedy twardo:

— Nie łzy i nie wzdychania tu pomogą, jeno rozum a siła.

Skoro już wiecie, skąd główne zło płynie i skoro pojęliście, że można z nim walczyć, bo to zło wcale tak koniecznem nie jest, jak cztery pory roku lub burze i wichry, i w mocy ludzkiej leży usunąć je nazawsze—to teraz musimy się zastanowić, jakim sposobem należy z tem złem walczyć.

Pierwsze, najważniejsze dla nas przykazanie jest, żeby ziemia, na której teraz siedzą panowie, a której jest około 7 miljonów morgów, jak również ziemia, należąca do rządu i majoratów—a jest jej 1 miljon

800 tysięcy morgów — przeszła we władanie ludu wiejskiego.

— To się wie, że przydałaby się nam ta ziemia, jeno niema skąd wziąć na nią pieniędzy—wtrącił Świtka.

— Gdyby tę ziemię trzeba było kupować za gotowiznę,—odparł Wardawy—i gdybyście wy tę gotowiznę posiadali, to nie jabym tu z wami o tych rzeczach gadał, jeno faktor albo jaki zausznik pana, który za dobrą cenę chciałby się pozbyć ziemi, więc chłopom ją na parcele sprzedaje.

— To jakżebyście chcieli oną ziemię nabyć? — zapytał kowal — przy pomocy banku włościańskiego przez parcelację czy jak? Innego sposobu nie widzę.

— Innego sposobu nie widzicie, bo wam go nie pokazali — odparł Wardawy. — A parcelacja i bank włościański pożal się Boże, co to za sposób. Niejeden pan dzięki parcelacji dobrze sobie kabzę nabił, a biedota bezrolna i małorolna wcale w kraju się nie zmniejszyła. Parcelacja przy pomocy banku włościańskiego podbiła tylko bardzo cenę na ziemię i umożliwiła urządzenie zagród czy powiększenie posiadłości takim, którzy niemało własnej gotowizny mieli. Jeśli się zaś porwał na kupno i taki, co własnego grosza nie posiadał, to ciężarom a długom, wziętym na siebie, podołać nie mógł i wrychle zamożniejszemu dobrowolnie zagrodę ustępował. I nie mogło być inaczej, dopóki dowolnie układali się pan i chłop i jakie chcieli, takie warunki sprzedaży stanowili. Amatorów na ziemię wielu, a pan jeden, więc taką cenę brał, jaką chciał. Wyobraźcie sobie, że wilk dobrowolnie układa się z baranami; ładnieby na tem barany wyszły — prawda?

Widzicie tedy, że bez opieki nad chiopami nie obejdzie się.

A kto się ma nimi zaopiekować? Jużci rząd, tylko nie taki moskiewski czy pański, choćby nawet polski, taki rząd dopomoże napewno panom, a ukrzywdzi wieśniaka. Uważcie to sobie, a dobrze, że tylko taki rząd naprawdę chłopami i robotnikami się zaopiekuje, w którym chłopi i robotnicy duży udział, a nawet większość będą mieli. Do takiego rządu dążyć musimy. Taki dopiero rząd postanowi sprawiedliwie, jak ma być ziemia podzielona i na jakich warunkach ziemia pańska czyli wielka własność rolna ma przejść we władanie ludu pracowitego. Bez rządu czyli bez przymusu państwowego tu w tej zmianie nie obejdzie się. Przeto zrozumcie, że odbudowując Polskę, wy zwłaszcza małorolni i bezrolni, dokładajcie wszelkich starań, żeby w rządzie tej Polski wielu było przedstawicieli ludu wiejskiego i roboczego, t. j. żeby rząd był jaknajbardziej demokratyczny. Taki tylko rząd naprawdę będzie dbał o wasze interesy.

— Racja jest — znowu porwał się Wójcik i aż na całą izbę wrzasnął.

— Niby co? — zapytali zebrani.

A on na to:—To, co prawi Wardawy. Bez opieki rządowej rady nie damy; pan i bogacz zawsze będą górą. Ale jak rząd będzie po naszej stronie, jużci, że i pan i bogacz w inną dudkę dąć będą. Komisja rządowa powie na ten przykład, że ten a ten majątek ma być rozparcelowany po takiej a takiej cenie mórg. Co wtedy pan zrobi? z samym rządem zadzierał nie będzie.

— Baj, baju — przerwał stary Matysiak — a dlaczegóż to rząd będzie miał stać po naszej stronie? Wiadomo, rządy zawsze z panami trzymają.

Spłoszył się nieco Wójcik i spojrzał bezradnie na Wardawego.

— Prawdę mówicie, Matysiaku, — rzekł Warda-

wy — dotychczas rządy prawie zawsze po stronie bogaczów stały. Ale w tem sęk, żeby to zmienić, i o to już my sami, robotnicy i chłopi, musimy dopominać się i walczyć, rozpoczynając od samorządu gminnego. Wasze wiejskie sprawy wy sami urządzać winniście, dbając o własną korzyść, nie pozwalając krzywdzić biedaków, dlatego tylko, że nic nie mają. Sołtysi i wójci muszą być ludźmi, oddanymi wam. Jakiś naczelnik czy starosta powiatowy nie powinien wtrącać się do waszych spraw wewnętrznych, o ile oczywiście nie działacie ze szkodą całego narodu i państwa polskiego. Bo gdybyście, naprzykład, postanowili zrujnować nasyp kolejowy, idący przez waszą gminę, albo uchwalili nie dawać rekruta czy też nie płacić na skarb podatków, ha, to hola! Robilibyście na szkodę całemu państwu polskiemu i w takim razie władze wyższe musiałyby założyć na wasze postanowienie protest. Lecz takie ogólnopaństwowe sprawy swoją drogą, a wszystkie inne to lokalne, w których wy macie, a nikt inny, decydować. Dalej gminy powinny mieć swoich przedstawicieli w sejmikach powiatowych, gubernjalnych, a wszyscy mają mieć swoich posłów w sejmie ogólnokrajowym, który prawa stanowi i rząd kontroluje. Gdyby rząd zaczął sobie poczynać wbrew postanowionym przez sejm prawom, to wówczas sejm odmawia takiemu rządowi pieniędzy (kredytu) i fora ze dwora. Najwyższy naczelnik kraju naznacza innych ministrów, którzy zgodnie z postanowieniami sejmu (parlamentu) działają i te postanowienia ściśle wykonywają. Chyba każdy z was rozumie, jakby było ważną niezmiernie rzeczą, gdybyście wy, chłopi, i my, robotnicy, mieli większość przedstawicieli czyli posłów w sejmie. O taką większość w sejmie musimy walczyć i starać się — będzie ona bowiem najlepszem zabez-

pieczeniem (gwarancją) praw ludu. To też dla nas, robotników, i dla was, chłopów, jest wielce ważną rzeczą, żeby do sejmu mogli wybierać posłów bogaci i biedni, rolni i bezrolni, mężczyźni i kobiety, słowem wszyscy pełnoletni. Następnie nikt mnie nie ma prawa niewolić, na kogo głosuję, więc głosowanie ma być nietylko powszechne i równe, lecz i tajne. Wreszcie głosować powinniśmy odrazu na Jana czy Andrzeja, którzy mają iść do sejmu, a nie tak: najprzód na Jana, Jakóba, Józefa, Stanisława i t. d., a ci dopiero w gubernji wybiorą posłów na sejm; słowem głosowanie ma być bezpośrednie.

Taka ustawa wyborcza czyli ordynacja będzie dopiero prawdziwie demokratyczną, t. j. ludową. — O taką ordynację walczyć mamy. A jak walczyć? Niechaj przedewszystkiem w całym kraju wszędzie po wsiach i gminach odbędą się zgromadzenia ludowe czy wiece. Na tych wiecach mądrzejsi mają pouczyć niewyrobionych, że trzeba przystąpić do budowy Polski i starać się o to, żeby ta Polska była ludowa, demokratyczna. Trzeba dopominać się wszędzie o powszechne, równe, tajne i bezpośrednie głosowanie na posłów do sejmu; trzeba nagwałt organizować samorząd gminny, nie zgadzać się na to, żeby władze gminne i wiejskie były naznaczone; mają one być na gminnych i wiejskich zgromadzeniach wybierane w zupełnej wolności i bez przymusu. Trzeba zabiegać o to, żeby wybory na sejmiki powiatowe i gubernjalne również były bezpośrednie, powszechne, tajne i równe — a wtedy zobaczycie, że ta Polska będzie wam prawdziwą matką-ojczyzną, że rządy Polskie naprawdę będą się troskać o dolę ludu pracowitego, że z tej Polski nikt z was po niewoli nie będzie potrzebował wyruszać w świat i tam szukać kawałka chleba, a poniewierkę znosić.

Ale żeby to wszystko teraz się zaczęło ziszczać, oprócz od tych zabiegów, trzeba jeszcze jak najprędzej organizować wielkie wojsko polskie, armję, bo bez armji, bez wojska, to tak jakbyś zamki budował na lodzie. Im większe będzie wojsko, im bardziej z ludem związane, im większy zapał naszych żołnierzy, tem groźniejsi będziemy dla naszych nieprzyjaciół, tem łacniej i swobodniej będziemy się budowali a urządzali wewnątrz.

Dużoby jeszcze gadać, jak wieś urządzać, jak grunta scalać, jak robotnika zabezpieczać, jak się zrzeszać w pracy, w handlu i t. d. Ale widzę, że dzieci Świtki już sobie śpią, bo to godzina późna. Więc te wszystkie bardzo ważne kwestje odłożyć musimy na później.

— Kiedy tak pięknie a mądrze gadacie — rzekł kowal, który już ani cienia urazy do Wardawego nie żywił, bo był chłop szczery a poczciwy i zrozumiał gdzie prawda — to mybyśmy tam i do ranka dosiedzieli.

Uśmiechnął się przyjaźnie Wardawy i mocno kowala za rękę uścisnął. Ale Świtka sprzeciwił się dalszej gawędzie, bo spostrzegł, że Wardawy i podróżą i gadaniem bardzo się sfatygował i nawet w usta, choć był gościem, nic jeszcze nie wziął. Więc zapytał Wardawego jeno, czy i kiedy odwiedzi ich jeszcze, a rozmawiać o polityce już nie pozwolił.

Ściskali tedy pracowitemi dłońmi mocno i po przyjacielsku dłoń Wardawego i powoli rozchodzili się. Nawet stary Matysiak, co to jeszcze pańszczyznę pamiętał, długo patrzył w oczy Wardawemu, trzymając go za rękę, aż w końcu rzekł: „Bóg zapłać, żeście nas oświecili, jak myśleć i co robić należy.“ W końcu wyludniła się chata Świtki, że jeno gospodarstwo i gość zostali.